ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 167.

№ 5. | Warszawa, 1 marca 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Na ciągu.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Po ukończeniu pędzenia z jednej strony, należy kuropatwy wyjąć, bufy odwrócić i ewentualnie małe płotki przestawić i miot zacząć ze strony przeciwnej.

Powyżej opisane łowienie najlepiej uskuteczniać rano, może wreszcie przeciągnąć się do południa, powietrze jednak musi być zupełnie spokojne.

b) Ze sposobów *łowienia na ziemi* mogą mieć zastosowanie:

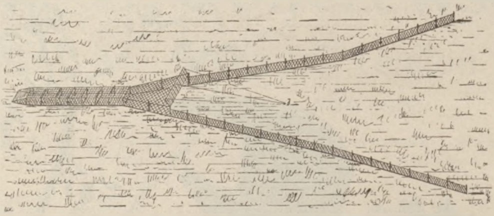
płotków z sieci, złożonych potrójnie, o oczkach różnej wielkości.

Płotki te są 35 do 40 ctm. wysokie i w kierunku poprzecznym poprzedzielane na przęsła laskowemi kijkami. Poprzeczne kijki w sieci mają analogiczne znaczenie, co słupy w płocie; z jednego końca są tępe, a z drugiego kończaste, w celu łatwiejszego umocowania w ziemi.

Między jednym a drugim kijem jest sieć napięta, a środek tworzy obwisłe bufy. Środkowa siatka służy do właściwego łowienia i ma oczka najmniejsze. Płotki dzielą się partyami na sztuki po 15 metrów długości, które w Warszawie kosztować mogą około 4 rubli.

Przy ustawianiu przymocowuje się sieć pomiędzy kijkami za dolny jej brzeg do ziemi za pomocą odpowiednich kulek. Kulki przygotowuje się z widełkowatych gałązek.

Jakkolwiek już w powyżej opisane płotki kuro-



Rozjazd.

1. Łowienie w sieci przez napędzenie (rozjazd).
2. „ „ troiste.
3. „ „ przy zasypach.
4. „ „ kabłąkowe.
5. „ „ przed psem przy pom. sokoła.
6. „ „ samołówki.

1. Do pierwszego sposobu łowienia używa się

patwy z obydwóch stron złapać się mogą, to jednak tutaj odgrywają one jedynie rolę pomocniczą, służą mianowicie do obstawienia miejsca łowienia z dwóch stron, jak ramionami, a zakończenie właściwe, do którego kuropatwy się napędza, tworzy daszkowato wzniesiona matnia, którą również kulkami do ziemi się przymocowuje. Matnia jako taka, jest to trójkątny

OBRAZEK

z życia petersburskich myśliwych.

(*Dokończenie*).

Okazało się, że niedźwiedź rzeczywiście, przedarłszy kożuszek, zdarł skórę na prawem ramieniu. Gdy Fedor z Iwanem opatrzyli ranę i przewiązali ją płótnem z koszuli ostatniego, pan Stefan podniósł się na nogi i spojrzawszy na niedźwiedzia, wypowiedział.

— Przynajmniej gałgan nie uszedł! — i włożywszy na rękawy kożuszek, podszedł do Fedora i objąwszy go za szyję, serdecznie wycałował.

— Dziękuję ci Fedorze, ocaliłeś mi życie! — wymówił pan Stefan i łzy mu gradem potoczyły się po twarzy, i nie wstydząc się tych dwóch prostych ludzi, głośno i rzewnie teraz zapłakał. On, co tak niedawno starannie usiłował ukrywać wzruszenia w obawie, aby go nie posądzano o tchórzostwo, obecnie otwarcie płacze i szczyci się temi słodkiemi łzami.

Fedor, zażenowany obejściem pana Stefana, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, z początku stał nieruchomy, podziękowania i uściski przyjmował, ale w końcu i on się rozrzewnił, wargi zadrżały, i łkając wymówił...

— A przecież powiedziałem, że pomogę, jak tego będzie potrzeba, tak i pomogłem, więc niema tak bardzo za co dziękować!

Iwanowi też ckliwo zrobiło się na sercu, ale nic nie mówił, tylko się nachylił nad niedźwiedziem, niby badając, gdzie kulą dostał, a ukradkiem nosem ciągle pociągał i knychał.

Pan Stefan, szczodrze nagrodziwszy Fedora i Iwana i obiecawszy pierwszemu ofiarować na pamiątkę jeszcze dubeltówkę, popędził z powrotem. O ile pociąg podchodził bliżej stolicy, o tyle stopniowo coraz więcej smutniał; jemu okropnie teraz było nieprzyjemnie powracać do domu, gdyż wiedział, że go tam oczekują łzy żony, wymówki i że znowu będzie musiał składać zaklinania, przysięgi i obietnice, iż więcej na niedźwiedzia nie pojedzie.

Z dziwną skruchą i pokorny, jak baranek, wszedł na schody, cichuteńko drzwi otworzył i skradając się na palcach, skierował się do swojego pokoju, myśląc, że o tak późnej porze snem twardym żona już zasypia i że przynajmniej w ten sposób odłoży do jutra to *tête à tête*, którego się tak strasznie obawiał. Tymczasem spotkał go zawód: pani Zofia, jak groźna Nemezis, z oczami zapłakanemi, nagle ukazała się we drzwiach.

— No, ale jaki piękny będziesz miała dywan do sypialnego pokoju, to moje uszanowanie, prawdzi-

kawał pojedyńczej sieci, przewleczonej dla usztywnienia przez kabłąki, i wówczas dopiero staje się matnią rzeczywistą, kiedy jest z dwóch stron kabłąkami i kulkami przymocowana brzegiem do ziemi; pozostały kawał sieci przy początku odwija się na zewnątrz i doprowadza do niej 3 szpagaty na odległość 20 metr. Gdy kuropatwy wejdą do matni, wówczas pociąga się sznurki i klapę opuszcza. Naturalnie, im matnia obszerniejsza i dłuższa, tem lepiej, a to samo odnosi się do długości płotków.

Płotki złożone są zwykle z kilku części, przy ustawianiu dopiero zakłada się jeden koniec na drugi, tak, że tworzą nieprzerwaną całość łącznej długości 30 do 45 metrów.

Mając, co potrzeba, przygotowane, wysłuchuje się kuropatw wieczorem, a zapamiętawszy sobie miejsce, gdzie na noc zapadły, wyczekuje się z brzaskiem dnia chwili, kiedy po raz trzeci zerwą się i zapadną, i tam w stosownej odległości ustawia się sieci.

Przy ustawianiu sieci zachować się należy spokojnie, aby kur nie spłoszyć, a nawet nie wzbudzić w nich podejrzenia naszych zamiarów. Sieci ustawiać zawsze tak, aby względem kuropatw stały z wiatrem, a to dla trzech powodów.

1) Kuropatwy nie dosłyszą tak łatwo nieuniknionego szmeru przy ustawianiu sieci.

2) Zdala już słyszeć będą przy naganianiu nadchodzących ludzi.

3) Kuropatwy niechybnie podrywają się z wiatrem, więc dadzą się łatwiej pędzić, czyli chętniej ciekną.

Ponieważ kuropatwa ma bardzo bystry wzrok, należy więc ustawione sieci, o ile możności, ukryć w trawie, następnie zasłonić zielenią, gałązkami i t. p. z pobliskiego otoczenia, tak, aby jaknajmniej były widoczne. Do tego sposobu łowienia nadają się najlepiej podszyte pola, czyli ściernie z trawą, z zielskiem, drobnemi krzaczkami i t. p.

Po ustawieniu sieci, ludzie oddalają się i obchodzą zdala miejsce, gdzie kuropatwy zapadły, a minąwszy je, schodzą się powoli z dwóch stron do siebie, postępując równocześnie ku skrzydłom i matni.

Ludzie muszą tak zgrabnie iść naprzód, żeby kuropatwy utrzymać, mniej więcej w środku skrzydeł, a to dlatego, że kury nie ciekną płotem, ale zwykle gęsiego, więc skierowane na bok, uderzyć mogą o płotek, w którym zostanie dwie lub trzy, a reszta, spłoszona trzepotaniem, zerwie się i uleci.

(C. d. n.).

Instynkt i inteligencya u zwierząt.

(Dokończenie).

Jeżeli porównywać będziemy stopień rozwoju instynktu i inteligencyi u zwierząt jednego gatunku, lecz różnych ras, hodowanych w odmiennych warunkach, tak samo przekonamy się, że rozwój ten zależny jest od wpływów i pobudek zewnętrznych. Weźmy dla przykładu konie. Stepowe rasy koni, hodowane w stanie na pół dzikim, jak kirgizka, baszkirska i inne, zachowały prawie w zupełności instynkty odziedziczone, bez których nie mogłyby istnieć. Umieją one odgrzebywać z pod śniegu trawę, służącą im za pokarm, i wogóle mogą się prawie obchodzić bez opieki człowieka. W razie napaści wilków, tworzą one instyktownie zwarty pierścień naokoło źrebiąt i koni słabych, zwracając się głowami do środka, a zadami nazewnątrz; tym sposobem są zabezpieczone od uchwycenia za gardło i mogą bronić się uderzeniami nóg tylnych. W inny zupełnie sposób są hodowane konie arabskie i berberyjskie. U tych koczowników źrebię, od samego przyjścia na świat, otoczone jest troskliwą opieką całej rodziny właściciela. Kobiety i dzieci pieszczą je i bawią się z niem, dzieląc się nieraz własną strawą; gdy koń dorośnie, Arab nie uważa go za bydlę robocze, lecz za towarzysza wypraw i polowań, płacąc za oddawane usługi przywiązaniem i opieką. Taki system hodowli, stosowany od wielu pokoleń, wytworzył z koni arabskich i północno-afrykańskich, pomimo ich wrodzonego, ognistego temperamentu, rasę zwierząt łagodnych i przywiązujących się do człowieka. Znaczną część instynktów pierwotnych, jako w danych warunkach niepotrzebnych, zatraciły

---

we cacko! — niezręcznie uśmiechając się, wypowiada z pokorą pan Stefan.

— Okrutniku! wstydź cię! - wybucha pani Zofia ze spazmatycznym płaczem.

— Uspokój się, moja droga, uspokój!— i z czułością, na jaką tylko mógł się zdobyć, posadził ją na swoje kolana i zaczął całować. Oto teraz klnę się na wszystko, że to już ostatni niedźwiedź, więcej nie pojadę!.. bo rzeczywiście głupio jest ryzykować życie, kiedy się ma dobrą żonę i takie poczciwe dzieci! —gorąco zakończył pan Stefan.

Po upływie trzech tygodni o drugiej godzinie w południe wpada pan Stefan z dwoma towarzyszami na dworzec tej samej kolei, i nie zachodząc do kasy, biegnie kłusem na peron, rzuca się do pierwszego zaraz wagonu, a zaledwie zdążył wejść, usłyszał przeraźliwy świstek nadkonduktora i pociąg ruszył. Zadyszanych przeprowadził konduktor do innego wagonu, wskazał wolne miejsca i pomógł na półkach poukładać manatki. Skoro odpoczęli, zapalili papierosy i ogólna rozpoczęła się rozmowa o polowaniu, na które jechali. Jechali oni do wioski Mchy na wezwanie Fedora, który powiadomił pana Stefana, że ma otropionych siedm łosi, a Iwan odnalazł świeży barłóg.

— Ja żonie solennie przysięgałem, że jadę na łosie, zamilczając zupełnie o niedźwiedziu! Tak, kochani towarzysze, trudno, nic nie poradzę! Nie widzę siły, któraby mogła być przeciwstawioną tej namiętności, jaką mam do polowania. Wprawdzie my wszyscy staramy się ją zwalczać, ale przeważnie wysiłki nasze bywają daremnemi. Nieraz pozbawiamy siebie i rodziny nasze koniecznych potrzeb, zaniedbujemy obowiązki, ale uwolnić się od tej żyłki myśliwskiej nie jesteśmy w stanie. Może niewłaściwie mówię to w liczbie mnogiej, albowiem mogliby się znaleźć tacy, co z rezygnacyą poddaliby się bolesnej operacyi jej wyprucia, tylko nie sądzę, aby ci byli prawdziwymi myśliwymi. Maupassant barwnie dowodzi w jednej ze swych powieści, że miłość jest tak silną, jak śmierć, tylko niestety, nie był on myśliwym, więc o istnieniu namiętności myśliwskiej wcale nie wiedział. Mnie się zdaje, że już nasz Sienkiewicz, jako zawołany myśliwy, możeby mnie trochę poparł w moich dowodzeniach, a przynajmniej w sądzie byłby pobłażliwym. Wreszcie niech tam sobie mówi, jak kto chce, dosyć, że ja, biorąc przykład z Maupassant'a, śmiało wypowiadam zdanie, że namiętność myśliwską można tylko, co do siły, porównać ze śmiercią!

Didko.

one; natomiast inteligencya ich rozwinęła się znacznie wyżej, niż u innych ras koni.

To samo, co o koniach, powiedzieć można o bydle rogatem i o świniach. Rasy stepowe bydła i świnie bułgarskie, serbskie i węgierskie, hodowane napół dziko w lasach, mogą prawie zupełnie obchodzić się bez opieki człowieka i nietylko, że bronią się solidarnie od napaści wilków, ale same atakują i odpędzają zauważonych nieprzyjaciół. Przeciwnie bydło i świnie, hodowane w oborach i chlewach, zatracają stopniowo ochronne instynkty, a inteligencya ich, wobec zaspakajania wszelkich potrzeb przez człowieka, także słabnie.

Pomiędzy psami dużą inteligencyą odznaczają się wielkie psy pasterskie i z grupy ostrouchych, psy owczarskie. Pasterze i psy, pilnujące stad, większą część życia spędzają jakby odcięci od reszty świata. Wspólna opieka nad stadem i przymusowa samotność, wytwarzają między człowiekiem a psem stosunek przyjacielski i łatwość wzajemnego porozumiewania się. Przy takich warunkach inteligencya psów nietylko nie osłabła, ale przez ciągłe obcowanie w szeregu pokoleń z istotami wyższemi, t. j. ludźmi, musiała się rozwinąć.

Z innych grup, bardzo rozwinięte zdolności umysłowe mają spaniele, które niegdyś służyły do wynajdywania ptactwa przy łowieniu siećiami i przy polowaniu z sokołami, a obecnie używane bywają do wypędzania z gąszczy bażantów i słonek. Dużo zmyślności także posiadają terriery i pinczery, służące specyalnie do tępienia małych gryzoniów. Rozwój umysłowy spanieli, oraz pinczerów i terrierów, przypisać należy tej okoliczności, że jako pieski nieduże i pożyteczne, były one zawsze chętnie hodowane w mieszkaniach, a tem samem podlegały ciągłemu wpływowi ludzi.

Z pomiędzy ras powstałych przez krzyżowanie, dużą inteligencyę posiadają psy S. Bernarda i newfounlandzkie, jako pochodzące od wielkich psów pasterskich; pudle, pochodzące z krzyżowania psów pasterskich ze spanielami, i wyżły, których rasy powstały z krzyżowania psów gończych ze spanielami. Wszystkie wymienione rasy podlegają ciągłemu, przyjacielskiemu wpływowi ludzi. Najmniej inteligencyi zdradzają rasy hodowane stale, od wielu pokoleń, w zamkniętych psiarniach i pozbawione przez większą część życia wolności, t. j. charty i psy gończe. Ujemny wpływ hodowli w wielkich, zamkniętych psiarniach na zdolności umysłowe psów, daje się nawet zauważyć na wielu wyżłach importowanych z Anglii, gdzie system ten, przy hodowli na eksport, z konieczności musi być stosowany.

Jako najlepszy przykład wpływu zewnętrznych okoliczności na charakter i inteligencyę psów, służyć może przetworzenie angielskich blood-houndów z psów gończych na domowe. Jak wiadomo, blood-houndy pochodzą od dawnych psów św. Huberta, które powstały przez dodanie krwi dogów pierwotnym, afrykańskim gończym. Psy św. Huberta były silne, wytrwałe i odważne, lecz zarazem złe i niebezpieczne dla ludzi. Kiedy następnie w zachodniej Europie, rozpowszechniły się inne, bardziej praktyczne rasy gończych, psy św. Huberta prawie doszczętnie wyginęły. Tylko niektórzy angielscy lordowie pozostawili u siebie tę rasę, lecz już nie jako gończą, ale domową. Zdaje się, że już po zdegradowaniu gończych św. Huberta na domowe, dodano im jeszcze trochę krwi mastiffów, dla powiększenia wzrostu i masywności, co mogło wpłynąć tylko ujemnie na ich charakter. A jednak sto lat blizkiego obcowania z człowiekiem i brak krwiożerczej praktyki na polowaniach, zmieniły zupełnie charakter blood-houndów i obecnie są to psy spokojne, łagodne i bardzo przywiązujące się do ludzi, a szczególniej do dzieci.

A. Sztolcman.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Żbik, czyli ***kot dziki*** (***Felis catus***). Zwierz ten, uchodzący powszechnie za protoplastę kota domowego, zamieszkuje po dziś dzień liczne lasy Europy, trzymając się przeważnie w okolicach górzystych. Według Brehma, nawet w Szkocyi dość często się przytrafia. W każdym razie wszelkie wiadomości o jego znajdowaniu się w tej lub owej okolicy, przyjmować należy z pewnem niedowierzaniem, gdyż dla profana kot domowy zdziczały łatwo za żbika ujść może, dochodzi bowiem na swobodzie do znacznie większych rozmiarów, aniżeli w niewoli, a swą burą, z pręgami czarnemi, maścią zbliża się także do kota dzikiego. Żbik wyróżnia się od kota domowego znacznie większemi rozmiarami, a przedewszystkiem znacznie krótszym ogonem (około 32 ctm.), jednakowo grubym na całej długości, gdy u kota domowego ogon ku końcowi staje się stopniowo cieńszym. Maść żbika jest bura z czarnem pręgowaniem; twarz posiada barwę rudawo-żółtą; żółtawe podpalanie widać też na brzuchu i na nogach w blizkości palców. Długość ciała wynosi bez ogona 70 ctm., a w wyjątkowych razach dochodzi do 98 ctm., wysokość w łopatce 38—44 ctm.; waga 7 i pół do 8 kilogramów.

Nie mam danych, o ile dzisiaj żbiki znajdują się jeszcze na równinach Królestwa, Litwy i Wołynia; ongi, według świadectwa Święcickiego (*Topographia Masoviae*) spotykało się dzikie koty w lasach Skwa na Mazowszu, a futra ich miały być lepsze od futer kotów litewskich i moskiewskich. W górach Galicyi spotyka się je nierzadko, o czem świadczą wykazy myśliwskie. Wiadomości o zabiciu żbików w Królestwie łatwo stosować się mogą do kotów domowych zdziczałych.

Żbik należy do wielkich szkodników, czyni bowiem znaczne spustoszenia nietylko wśród ptaków łownych, lecz atakuje także zające, a nawet młode sarny i cielęta jelenia. Sąsiedztwo więc jego zgubnem jest dla zwierzostanów, a dlatego zwierza tego tępić należy wszelkiemi sposobami. Na szczęście u nas w granicach Królestwa, już albo wcale nie istnieje, albo też stał się taką rzadkością, że w rachubę branym nie bywa.

Wilk (***Canis lupus***). Jeszcze przed 50-ciu laty straszny ten szkodnik zamieszkiwał prawie całą Europę. Najprzód wytępiono go w Anglii, dzięki stałemu i energicznemu tępieniu; następnie uporano się z nim w Niemczech. We Francyi, mimo wysokie nagrody (100 fr. za zabicie wilczycy, 75 fr. za starego psa, 50 fr. za młodego wilka), liczba wilków zmniejsza się bardzo powolnie i dziś jeszcze w tym kraju, tak zaludnionym i tak wysoce cywilizowanym, ginie jeszcze rocznie od 150 do 300 wilków. W granicach Królestwa Polskiego wilki do niedawna jeszcze spotkać można było wszędzie. Przed 25 laty strzelano do wilka na polowaniu w lasach willanowskich. Odtąd jednak zwierz ten szybko znikać u nas począł, nietyle może wskutek systematycznego tępienia, ile dzięki zmniejszeniu się przestrzeni leśnych. Już od lat 20-tu nie słyszałem, aby zabito, a nawet widziano wilka na zachód od Wisły. We wschodniej części Królestwa trzymały się jeszcze, szczególniej w południowo-wschodnim kącie gub. lubelskiej, oraz w niektórych częściach gub. siedleckiej (lasy międzyrzeckie i bialskie), łomżyńskiej (w lasach kurpiowskich i na pograniczu gub grodzieńskiej), a prawdopodobnie i w gub. suwalskiej. Jeszcze przed 15-tu laty byłem na polowaniu w Woysławicach pod Chełmem, gdzie w ciągu godziny zabiliśmy 6 wilków z 8-u otropionych. Przyszedł jednak i tu koniec na nie, a dziś wilk zjawia

się w granicach Królestwa sporadycznie, jako przybłęda z lasów litewskich lub wołyńskich.

Do rzadkich i niezmiernie ciekawych wypadków zaliczyć należy pojawienie się wilków w gub. płockiej, prawie zupełnie pozbawionej lasów. Pojawiły się tam wilki w lecie roku zeszłego i podobno dwa gniazda wyprowadziły w zbożach. Odtąd tułają się one po okolicy, czyniąc, jak dotychczas, bezkarnie szkody wśród inwentarza, a szczególniej podobno wśród drobiu. W grudniu roku zeszłego widziano parę ich w Małej Wsi pod Wyszogrodem, a nawet bażantarnik p. Sonnenberga strzelał do nich, lecz dla znacznej odległości szkody im nie zrządził.

Uwłosienie wilka ulega bardzo małym zmianom; włos czasami bywa bardziej puszysty, lub krótszy, a barwa jego waha się między burą a rudawą. Toż samo można powiedzieć o wielkości wilka. U nas zwierz ten dochodzi większych rozmiarów, aniżeli na zachodzie (np. we Francyi), a natomiast ustępuje pod względem wielkości wilkowi rosyjskiemu, a szczególniej syberyjskiemu.

Nie mogę też pominąć milczeniem czarnej odmiany wilków, która czasami pojawia się w naszym kraju. W roku 1887-ym pan Jundziłł, właściciel majątku w gubernii siedleckiej, zabił u siebie czarnego wilka, który obecnie znajduje się w zbiorach Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Na tem samem polowaniu padł jeszcze drugi wilk anormalny, a mianowicie bury w czarne łaty, a widziano trzeciego całkiem czarnego. Widocznie więc było to gniazdo wyrodków.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

Wręczyłem swe listy polecające jednemu z adjutantów gubernatora i otrzymaliśmy niezwłocznie zaproszenie na obiad, dzięki któremu miałem sposobność poznać świat urzędowy angielski i jego szefa, reprezentanta królowej na wyspie.

Gubernator, sir Arthur Havelock, bardzo uprzejmie i szybko prośbę moją, co do licencyi, załatwił, a co do innych mych życzeń, skierował mnie do jednego ze swych urzędników, p. Murray'a, brata komisarza rządowego w Hambantocie. Nie mogłem lepiej trafić: telegrafował tegoż dnia o namiot dla nas, uprzedził o naszem przybyciu i jego opiece polecił.

Wszystko się więc jaknajlepiej składało.

Sam p. Murray należy do myśliwych czystej wody i za specyalność sobie obrał polowanie na słonie, w którem nabrał niezwykłej wprawy i doświadczenia. Objaśniał mnie co do wielu szczegółów tego polowania i prawdziwą oddał przysługę, pokazując na żywym okazie swojskiego, koło miasta znajdującego się słonia, używanego do religijnych procesyj budystów, miejsca w czaszce, do których celować należy. Poznanie anatomii łba słoniego jest koniecznym dla nowicyusza warunkiem dobrego rezultatu, jak się o tem w przyszłości miałem sposobność przekonać.

Gubernator, sir Arthur Havelock, nie jest ani myśliwym, ani wogóle sportsmenem, i dlatego, zdaje mi się, nie jest zbyt przez Anglików na Cejlonie lubiony. Trzy lata już sprawuje rządy wyspy, której administracya nie jest złączona z Imperyum Indyjskiem, tylko wprost centralnym władzom w Londynie podlega, i jako t. zw. kolonia koronna, posiada odrębne prawa, osobną administracyę, a nawet własną walutę.

Dwór gubernatora, stosownie do angielskiej zasady, we wschodnich posiadłościach przyjętej, otoczony pompą i etykietą, jest, ma się rozumieć, mniejszy i mniej świetny, niż królewskie rezydencye anglo indyjskich satrapów.

Rządy wyspy ograniczają się do wewnętrznej administracyi i krajowego gospodarstwa. Polityka, ani kwestye wojskowe i strategiczne nie komplikują spokojnych stosunków miejscowych. Cejlon leży na uboczu od wielkich zagadnień polityki międzynarodowej, których istnienie na burzliwym terenie rasowych walk i zawiści w sąsiednim Hindustanie coraz więcej Anglikom czuć się daje. Spokojna i prawie jednolita ludność wyspy nie wymaga licznych garnizonów ani wojskowych środków obrony i bezpieczeństwa dla rządów angielskich.

Na Cejlonie rezydują tylko dwa pułki angielskie; krajowego wojska regularnego niema, tylko milicya, z t. zw. ochotników cejlońskich rekrutowana.

Musiałbym powtórzyć zdanie, które w moich notatkach z Indyj *ex re* rządów angielskich w Cesarstwie Indyjskiem wspomniałem, chcąc mówić o tym samym przedmiocie na Cejlonie. Błogie skutki angielskiego geniuszu kolonizacyjnego na polu cywilizacyi, porządku i bogactwa krajowego, z powodu mniejszego obszaru, na którym są skupione, nigdzie wyraźniej nie uderzają, niż na Cejlonie, który słusznie za typ wzorowej kolonii uchodzić może.

Szczególnie pod względem środków komunikacyjnych, Anglicy zdają się hołdować zdaniu, wypowiedzianemu jakoby przez jednego z byłych ich wielkorządców kolonialnych i widocznie za maksymę swych rządów przyjętemu, że mianowicie pierwszym, najpotężniejszym czynnikiem cywilizacyjnym danego kraju są dobre drogi, drugim do tegoż celu prowadzącym krokiem, również drogi, trzecim wreszcie jeszcze raz — dobre drogi.

W okolicach Kandy zaczynają się i rozległym obszarem ciągną się wzdłuż i wszerz całej wyspy wielkie plantacye kawy, rośliny kakao, a szczególnie herbaty, którym Cejlon swe bogactwo i handlowe znaczenie zawdzięcza. Z każdym rokiem cywilizacya zyskuje nowe przestrzenie i obecnie produkcya herbaty cejlońskiej sięga najwyższej, po Chinach, sumy eksportu tego towaru, szczęśliwie rywalizuje z takiemiż plantacyami w sąsiednich Indyach, a nawet z Chinami podejmuje walkę konkurencyjną.

Do r. 1875 słynął Cejlon ze swych ogromnych plantacyj kawy, uważanej za najlepszy gatunek w świecie, i handel tym produktem doszedł na Cejlonie do szalonych rozmiarów, gdy niespodziewana katastrofa zniweczyła raz na zawsze plantacye tej rośliny na wyspie, redukując je w obecnych czasach do mniej ważnej uprawy t. zw. kawy liberyjskiej.

Zjawił się był wówczas gatunek grzybka, niszczącego liście rośliny (Hemileja vastatrix), i mimo najrozmaitszych środków zapobiegawczych, wymyślanych przez zwoływane ad hoc kongresy uczonych i botaników, podkopała ta kawowa filoksera sui generis uprawę kawy na wyspie, może na zawsze, rujnując krocie majętnych ludzi i bogatych domów handlowych. Dosyć powiedzieć, że przestrzeń pod kawą, obliczona w r. 1878 na 275,000 akrów, spadła w r. z. na 35,000 akrów.

Prócz roślin, powyżej wspomnianych, słynne są cejlońskie plantacye kokosów, indygo, chiny, bawełny, cynamonu i t. d. Dodajmy skarby, jakie rajska wyspa w tajemniczych głębiach swego wnętrza ukrywa, bogate kopalnie szafirów, rubinów i rozmaitych drogich kamieni, słynne perły w toni morskiej, u jej wybrzeża łowione, a dziwić się nie można, że dawna

Taprobane starych Greków i Rzymian nosiła u ludów Wschodu nazwę „klejnotu w Indyjskim oceanie“.

Do ciekawości Kandy należy osobistość, która, zniknąwszy z areny politycznej, na której lat temu z górą dziesiątek, potrafiła zwrócić na siebie uwagę świata całego, obecnie zapomniana i opuszczona, pędzi smętny żywot, jako wygnaniec, na tej wyspie Dalekiego Wschodu. Jest nią Arabi basza. Więzień z pod Teb-el-Kebir, wygnany na Cejlon przez swych pogromców, mieszka tam już lat czternaście, z których dziesięć spędził w Colombo, a od czterech ostatnich przeniósł się do Kandy.

(C. d. n.).

UBYWANIE ZWIERZYNY W ROSYI.

(Dokończenie).

Jak się dzieje na polowaniach tego „Towarzystwa“, wystarczy przytoczyć jeden tylko przykład. Od 30 go listopada (st. st.) obowiązuje czas ochronny dla kozłów, sarny-kozy zaś i koźlęta mają cały rok ochronę. Podczas święta Bożego Narodzenia 1901 r. urządzono polowania z naganką, na których ubito sporo sarn. Mimo wszakże, iż w tych polowaniach brali udział sędziowie pokoju i inni urzędnicy państwowi, „zatuszowano“ to przestępstwo, a lubo w rubryce „Nadesłane“ jednej z kijowskich gazet codziennych ujawniono to nieprawidłowe strzelanie do sarn w obrębie czasu ochronnego, to jednak nie wytoczono skargi sądowej przeciw winnym, „ze względów koleżeńskich“.

Opowiadający powyższe szczegóły w wiedeńskiem piśmie myśliwskiem, p. Aleksander Gassmann, bywał także często na polowaniach z naganką pewnego, znanego „związku myśliwskiego“ i stwierdził, że jego członkowie bynajmniej nie mogą służyć za wzór do naśladowania pod tym względem. Jako naganiacze funkcyonowali ludzie odpowiednio wytresowani i przez swych przełożonych wykształceni jako specyaliści w ukrywaniu nieprawidłowo ubitej zwierzyny. Dnia 1-go grudnia 1900 r. urządzono w okręgu Letyczowa (w gub. podolskiej) w lasach rządowych polowania z obławą na wilki, na które zaproszono wybitne osoby z okolicznych mieszkańców.

Oprócz wilków i lisów — pisze wspomniany, p. Al. G. — zające strzelać powinni byli tylko ci z uczestników, którzy mieli świadectwa myśliwskie, pozwalające polować w lasach rządowych; sarn wogóle nie wolno było strzelać, ponieważ tego dnia zaczął się był czas ochronny. Ażeby zapobiedz przekroczeniu prawa, a względnie, żeby mieć świadków tych przestępstw, nadleśniczy tego lasu rządowego rozkazał gajowym i leśniczym pełnić obowiązki dozorców na tem polowaniu. Podczas każdego miotu rozlegały się odgłosy strzałów, a gdy polowanie zostało zakończone, rozkład wynosił trzy lisy i kilka zajęcy. Wiele sarn ubito, dowiedziałem się dopiero znacznie później; były tam dwa kozły i trzy kozy. Nawet argusowe oczy dozorców leśnych nie mogły tego dostrzedz. Podczas trzeciego miotu miałem z prawej strony za sąsiada wybitną osobę, J. Stado sarn, złożone z dziewięciu sztuk, podeszło bardzo blizko do mego stanowiska, i byłem już przekonany, że stado przejdzie obok mnie przez linię strzelców. O dziesięć kroków przedemną przystanęło, skręciło potem w prawo, a mój sąsiad ubił podwójnym strzałem kozę. Pozostałe sarny przeszły wzdłuż po linii strzelców i spowodowały szybkie danie ognia. J. był natychmiast przy ubitej sarnie, okrył ją liśćmi i zrobił sobie znak przy swem stanowisku. Gdyśmy się zeszli, podał mi swą flaszkę koniaku, mówiąc: „*Czort wozmi*“, nie mogłem wytrzymać, na szczęście przechodziło to dwa razy!“

„Mojem zdaniem, nie zmniejszenie się obszarów leśnych i osuszanie nizin, ani łagodne przepisy, ani kłusownicy i nadmierna liczba myśliwych, ani nawet mnóstwo drapieżników, nie są przyczyną tak gwałtownego ubywania zwierzostanu w Rosyi. Z rozwijającą się kulturą las i woda bezwarunkowo będą traciły część swych obszarów, gdyż rozrastanie się drzew jest przeszkodą dla kultury, a im mniej jest lasów, tem mniej wody, — tak też jest na wschodzie! Ale Rosya ma jeszcze więcej lasów i bagien, niż jakikolwiek inny kraj w Europie, a przeto ta przyczyna nie jest najgłówniejsza. Również najsurowsze przepisy nic nie pomagają, gdy niema komu czuwać nad niemi. Co się tyczy liczby myśliwych i drapieżników, to jestem przekonany, że Rosya stosunkowo zaledwie dziesiątą część obydwóch posiada, w porównaniu z Niemcami. Wskutek surowego klimatu Rosya nigdy nie będzie miała takich zwierzostanów, jak Austro-Węgry albo Niemcy, lecz nie wątpię, że następujące środki moglyby przyczynić się do poprawy stosunków myśliwskich w Rosyi:

1) Utworzenie k o n n e j p o l i c y i m y ś l i w s k i e j w takich warunkach, żeby mogła utrzymywać się porządnie i niezależnie; zabezpieczenie jej na starość i w razie niezdolności do dalszej pracy; zapewnienie utrzymania spadkobiercom; niezbyt szczupłe wynagrodzenie za schwytanie przestępców, względnie po ukaraniu ich sądownie.

2) W p r o w a d z e n i e p o d a t k u o d p s ó w. Najwyżej należy opodatkować wolne psy wiejskie, niżej — psy myśliwskie, a najmniej psy miejskie; psy na łańcuchu powinny być wolne od podatku.

3) Z a b r o n i e n i e w s z e l k i c h p o l o w a ń o d d. 1 l u t e g o d o 15 l i p c a (st. st.). Rozmaite czasy ochronne dla różnych gatunków zwierzyny nie są odpowiednie dla stosunków w Rosyi.

4) K a r y z a p r z e k r o c z e n i e p r z e p i s ó w m y ś l i w s k i c h powinny opierać się na zasadach następujących: k a r y w i ę z i e n n e dla wszystkich osób, które kształciły się w średnim lub wyższym zakładzie naukowym; k a r y p i e n i ę ż n e dla tych, którzy uczęszczali do szkoły ludowej lub miejskiej. (Ponieważ stosunkowo mało osób kończy wspomniane szkoły, przeto mówi się tylko o „uczęszczaniu“).

5) Nauczyciele i duchowni powinni w szkole i kościele wskazać na zgubne i grzeszne skutki zbierania jaj i niszczenia gniazd.

6) Podwyższenie o p ł a t y z a ś w i a d e c t w o m y ś l i w s k i e do sumy niemniejszej, jak d z i e s i ę ć r u b l i o d o s o b y r o c z n i e.

Jotka.

Jak leczono psy sto lat temu.

(Ciąg dalszy).

O wściekliźnie.

Z pomiędzy cierpień, dotykających organizm zwierzęcy, wścieklizna jest jedną z najniebezpieczniejszych, tak dla zwierząt w ogólności, jako i dla ludzi. Zwierzę, dotknięte jadem wścieklizny, po pewnym przeciągu czasu, gdy się ten jad rozprzestrzeni w całym organizmie, staje się zarażającem dla drugich przez ukąszenie, albo nawet przez małe zadraśnienie. Straszna ta choroba niekiedy sama przez się powstaje u psów, wilków i t. p.

Czas wywiązania się wścieklizny nie jest pewny, i tak niekiedy w miesiąc, niekiedy w sześć tygodni, albo i we trzy miesiące, a niekiedy później, pierwsze znaki i naokoniec sama wścieklizna się ukazuje. W rozmaitych peryodach ta choroba różne ma znaki, które w początkach zwłaszcza tak są łagodne i nieznaczne, że trzeba doświadczenia i obeznania się, aby je schwycić i przewidzieć niebezpieczeństwo.

W pierwszym peryodzie pies staje się smutny, mniej jada i pije nadzwyczaj, nie liże się, przez co włos niegładki i najeżony. Unika psów innych, a szuka samotności i najwięcej leży, mało bardzo szczeka, a jeżeli głos wyda, ten pospolicie jest chrapliwy, albo zupełnie przytłumiony. Zawołany słucha i łaszczy się, jednak prędko odbiega, i osoby, do których był nawykły, łatwo opuszcza. Na jadło nie tak łapczywie się rzuca. I w tym peryodzie u niektórych psów daje się postrzegać porywczość lub niezwyczajna wesołość, ale przemijająca. Te symptomata początkowe, przepowiadające wściekliznę, zwykły trwać kilka dni, niekiedy zaś tak krótko, że trudno ich dostrzedz. Wszelako, gdy taki pies był pokąsany, natenczas najmniejsza zmiana w jego zewnętrzności, humorze, lub sposobie zachowania się, powinna wzbudzić natychmiast podejrzenie, azali ona nie jest początkiem symptomatów wścieklizny?

W drugim peryodzie wszystkie pomienione symptomata w stopniu wyższym: oczy krwią zabiegają, ślina obficie zaczyna się oddzielać. Niektóre psy pokarmów płynnych i napojów nie przyjmują, owszem, na ich widok dostają wstrząśnienia konwulsyjnego. Od tego jednego symptomatu, który najczęściej wściekliźnie towarzyszy, sama choroba nazwana jest wodowstrętem (hydrophobia). Atoli często zdarza się, że wściekłe psy nietylko w tym peryodzie, lecz aż do końca płyny połykać i pokarmy jadać mogą. Głos albo się przytłumia, albo, jak najczęściej bywa, zupełnie ginie. Pies, idąc, spuszcza ogon między tylne nogi, głowę zwiesza, pana nie poznaje, często się kładzie, lecz ulężeć nie może, uryny mało oddaje, na psy zbliżające się, rzuca. Najczęściej żadnego pokarmu ani napoju nie przyjmuje. Niekiedy, przy tych symptomatach przedłużonych, psy zdychają.

W trzecim peryodzie pies traci przytomność i błąka się. Bieg jego natenczas nierówny, chwiejący się, ogon spuszczony, język zewnątrz wyparty, oczy krwią zabiegłe. Z paszczy ciągle piana kłębami wypada. W takim stanie pies przebiega pola i lasy, a cokolwiek na drodze napotka, to kąsa i dalej bieży. Nie ustaje błąkać się, póki z sił zupełnie nie spadnie. Najczęściej jednak przypadają gwałtownie konwulsye i w nich pies zdycha, albo bywa zabity.

Psy zdrowe od takiego stronią z jękiem i szczekaniem, lecz niekiedy psy porywcze, albo podszczzone, rzucają się wprawdzie na psa wściekłego, lecz wnet z bojaźnią i niemałym przestrachem odbiegają i chronią się.

Często się jednak zdarza, że pies dotknięty inną chorobą nie zaś wścieklizną, oddala się z domu i błąkając się po okolicach, natrafione psy kąsa i kaleczy; przeto dla dostateczniejszego przekonania się o wściekliźnie, wedle którego potem przedsiębiorą środki, wielu radzi, kawałek chleba lub mięsa, otartego o zęby zabitego psa, dać zdrowemu psu zgłodniałemu: jeżeli ten, obwąchawszy, nie przyjmie go i z najeżoną szerścią odejdzie, ma to znaczyć, że zabity pies był wściekły. Lubo psy z instynktu swego niemylny mają węch ku rozpoznaniu rzeczy im szkodliwych, jednak na tem jednem kriterium nie można polegać, bo który pies nie odbiega z szerścią najeżoną od tego wszystkiego, cokolwiek jest przejęte humorami psa jakiegokolwiek zdechłego, czyliż psy od ludzi dotykających zdechłych psow, a mianowicie od tych, którzy zdejmowaniem z nich skór zajmują się, nie stronią i nie uciekają? Więc i w tym razie może być, że pies doświadcza raczej wstrętu od swędu zdechliny psiej, a nie zaś od jadu wścieklizny. Przeto ten znak nie może być pewny. Ztąd zawsze należy uważać na zbiór symptomatów i peryody, jakie ta choroba przebiega, a nigdy na jednym znaku nie polegać.

Wypada obok tego powiedzieć, co natychmiast w przypadku pokąsania od psa wściekłego, czynić należy. Jeżeliby pies, błąkający się i nieznajomy napadł na dom i pokąsał zwierzęta, a szczególniej psy, albo i ludzi, natenczas pierwszą jest rzeczą przekonać się, azali pies ten istotnie chory był na wściekliznę?

Lepiej jest przeto, jeżeli można, takiego psa przytrzymać i w jakiem miejscu zaprzeć dla sprawdzenia choroby, aniżeli wnet zabijać, bo może być, że pies inną chorobą, a nie wścieklizną, był dotknięty. Co zaś do pokąsanych, rany ich, bez zwłoki, wodą z octem i solą kuchenną wymyć i pozwolić krwi spływać, a potem żelazem do białości rozpalonem przypiec tak, aby działanie ciepła głęboko przeniknąć mogło. Jeżeli się pokaże, że pies nie był wściekły, ztąd ta korzyść wynika, iż ukąszeni uwalniają się od niepotrzebnego leczenia i nie pozostaje więcej żadna obawa tej niebezpiecznej choroby. W przeciwnem zdarzeniu, ranę należy utrzymać w ropieniu przez długi czas, t. j. przez kilka miesięcy; do czego najlepiej służy maść z wosku, oliwy i żywicy, którą naprowadzony płatek posypuje się jeszcze proszkiem much hiszpańskich, i przyklada się ranę; zdaniem albowiem lekarzy, wypalenie rany i jej utrzymanie najdłuższe w ropieniu tylko może zabezpieczyć od choroby i jest jedynym środkiem.

(C. d. n.)

POLOWANIE NA BAŻANTY I FRANKOLINY[1]
na Kaukazie.

Z górą przed miesiącem, gdy byłem zajęty swą pracą zawodową, służący oznajmił mi przybycie jakiegoś „beka“. Gdy Tatar ów wszedł do pokoju, poznałem w nim obywatela z dżewanszyrskiego powiatu, Adigeżałowa, który kilkakrotnie zapraszał mię na polowanie i obecnie przyjechał ponowić swą prośbę. Ponieważ dżewanszyrski powiat, elizawetpolskiej gubernii, słynie z obfitości zwierzyny, chętnie skorzystałem z tych zaprosin i, umówiwszy się z inżynierem Maniewskim, towarzyszem miłego mi sportu, naznaczyłem dzień przybycia do Alpantu, majątku owego obywatela.

W dzień wyznaczony, o godz. 5-ej rano wyruszyliśmy na stacyę Elizawetpol, kolei Zakaukazkiej i wsiedli do wagonu, w którym jechało kilku konduktorów, Gruzinów i Rosyan. Ulokowawszy obok siebie u nóg, swego wyżła „Normana“ i rozłożywszy się na ławce, zamierzałem zasnąć nieco, lecz rozmowa, którą prdwadzili konduktorzy, zwróciła mą uwagę. Oto jeden z nich czytał otrzymaną z Polski, telegraficzną odezwę od prezesa polskiego stowarzyszenia kolejarzy do rosyjskich ich kolegów. W depeszy tej było pozdrowienie, przesłane kolejarzom-Polakom, urzędującym w Rosyi i na Kaukazie. Owo wyróżnienie kolejarzy - Polaków z grona masy urzędników innych narodowości, wywołało słuszne niezadowolenie wśród słuchających, z których kilku zauważyło, że należało by naszym urzędnikom kolejowym połączyć się z resztą braci - kolejarzy, by wspólnemi siłami walczyć o polepszenie bytu, a nie wyróżniać swych rodaków od przedstawicieli innych narodowości.

---

[1]) Frankolin — po rosyjsku *turaca*, rodzaj kurowatego ptaka, wielkości kuropatwy.

Przybywszy na stacyę Jewlach, wysiedliśmy z wagonu, by odbyć dalszą drogę końmi, gdy podczas śniadania podszedł do mnie Kiełbali Aga Dżewanszyr, miejscowy obywatel, którego posiadłości stanowią istne Eldorado. Ujrzawszy mię w stroju myśliwskim, z flintą i psem, bek ów poprosił, aby i u niego także zapolować.

Polowanie u owego tatarskiego szlachcica od kilku lat było oddane zarządzającemu Kaukazem, ks. Golicynowi, który trzymał tam swych stróżów i sporo łożył na polepszenie zwierzostanu, sam zaś polował tylko parę razy na rok. To też ilość bażantów i turaczy na tyle wzrosła w majątku Laki owego beka, że, polując z wyżłem, w przeciągu dnia myśliwy może dać kilkaset strzałów do tych ptaków. Obecnie zaś, gdy generał Golicyn bezpowrotnie wyjechał z Kaukazu, Dżewanszyr czasem zaprasza bliższych znajomych do owego raju dla myśliwych, choć ubitej zwierzyny, szczególniej kur bażancich, zawsze żałuje.

Zdaje się, nie potrzeba wspominać, że Dżewanszyr na zaproszenie swe nie otrzymał odmowy, obiecaliśmy więc, powracając od Adigezalowa, zajechać do Lak na owe książęce gody myśliwskie.

Umówiwszy się z Dżewanszyrem o dniu przyjazdu, wyruszyliśmy w dalszą drogę pocztową bryczką, t. zw. „pierekladną", na tyle niewygodnym i trzęsącym wehikułem, że, sądzę, mógłby on mieć wielkie powodzenie wśród niektórych mężatek i niezupełnie niewinnych panienek, które nie chcą przyczyniać się do powiększenia ludności. Mówią, że pewien Anglik-turysta, zwiedzając Rosyę, ogłosił konkurs na wymyślenie więcej niewygodnego wehikułu, lecz nie było komu doręczyć wyznaczonej nagrody.

Po kilku godzinach jazdy przed wieczorem przybyliśmy do Alpautu, gdzie gospodarz oczekiwał nas ze spóźnionym obiadem. W domu jego dosyć dziwne otoczenie: sam gospodarz względnie inteligentny Tatar, mahometanin, żona jego Rosyanka, prawosławnego wyznania, dzieci wyznania matki, kształcą się pod kierownictwem guwernantki francuskiej; ze służby domowej kucharz Polak, lokaj Tatar, stangret typowy Rosyanin z grubym karkiem i równo podciętemi z tyłu włosami; mieszkanie, urządzone po europejsku, składa się z kilku pokoi, z których jeden gościnny, z łóżkami, kanapą i biurkiem; wśród sporego podwórza stoi lokomobila i poza tem nie widać żadnych narzędzi rolniczych, gdyż gospodarz, jak i wszyscy inni tutejsi obywatele, sam nie zajmuje się uprawą roli, a oddaje ziemię włościanom w dzierżawę, za co otrzymuje trzecią część zebranego plonu; na stajni stoi ośm pięknych, wypasionych jęczmieniem, koni do wyjazdu powozem i pod wierzch, spora zaś stadnina, składająca się z kilkuset zdziczałych koni, cały rok pasie się w stepie.

Następnego dnia od rana wyruszyliśmy konno na polowanie z synem gospodarza, który, z powodu niedomagania, został w domu, oraz ze starym strzelcem, Tatarem Salimem, doskonale znającym miejscowość. Przejechawszy parę wiorst przez pola, łąki, oraz plantacye bawełny, nasz strzelec dał znak do zsiadania z koni. Przed nami był duży obszar łąk i pól, pokrytych zasychającą już, niezbyt wysoką trzciną i starą, wysoką trawą, prawdziwy teren bażanci.

Nie zdążyliśmy przejść kilkuset kroków, gdy prawie z pod samych nóg mego towarzysza, inżyniera, poderwał się duży bażant-kogut. Padły dwa strzały, po których spłoszony bażant wzniósł się w górę i wkrótce skrył się wśród dalej położonego, dębowego lasku. Inżynier stanął, jak słup wryty w ziemię, śledząc za odlatującym, pysznym ptakiem, ja zaś oddaliłem się, by nie rozmawiać o niezbyt miłym początku. Po niejakim czasie „Norman" mój zaczął energicznie wietrzyć, wyprężył się, jak struna, i o parę kroków od niego z pod krzaku granatu poderwał się młody bażant, który natychmiast upadł, rażony mym strzałem.

Nie zdążyłem przytroczyć do torby swej zdobyczy, gdy zaczęło się podrywać całe stado tych pięknych ptaków; kilka z nich zdołało umknąć bez strzału, a jeden zwalił się po dwóch mych strzałach; był to piękny, stary z długim ogonem, złoty kogut.

Na strzały me nadbiegł towarzysz polowania i także ubił jednego bażanta, inny zaś po dwóch mych strzałach pofrunął, siejąc po drodze złociste swe pióra. Zanim zdążyliśmy wynaleźć w trzcinie, ubitego przez inżeniera, ptaka, znowu poderwały się dwa bażanty, z których jeden padł na ziemię, po naszych strzałach. Tymczasem Tatarzy, prowadzący nasze konie, zaczęli wołać, by iść za moim postrzałkiem, który upadł na ziemię i rowem umykał od nich pieszo; podążyłem tedy ku nim i wkrótce „Norman" wyszukał w rowie owego bażanta, który długo umykał pieszo, następnie poderwał się i padł, rażony mym strzałem.

Ubiwszy jeszcze kilka bażantów, po przejściu dużej przestrzeni trzcin, traw i zarośli, siedliśmy na konie, by przejechać na inne, dalej położone pola; po drodze, przejeżdżając przez plantacye bawełny, zoczyłem wymykającego z kotliny, naszego poczciwego szaraka, do którego wypaliłem, nie zsiadając z konia; kot został na miejscu, ale rumak mój, nie przyzwyczajony widocznie do strzałów, skoczył raptownie tak, że o mały włos nie wypadła mi strzelba z ręki. Przed paru laty, będąc sędzią śledczym, miałem konia, z którego często, podczas wyjazdów służbowych, strzelałem do różnej zwierzyny, co żadnego na rumaku nie robiło wrażenia, nabrałem przeto pewnej wprawy do takiego polowania.

Kazimierz Pruski

(*Dok. nast.*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

Były porucznik marynarki francuskiej, p. Guy de la Motte Saint-Pierre, syn bogatego właściciela ziemskiego departamentu Indre et Loire, a sam posiadacz wielkich włości na Madagaskarze, odbył przed dwoma laty, w towarzystwie swej młodziutkiej żony, wycieczkę myśliwską do portugalskich kolonij Afryki wschodniej. Wyprawa ta, oprócz licznych trofeów z dziedziny antylop, nie dała ważniejszych rezultatów; posłużyła jednak za wstęp do całego szeregu wycieczek, które młody, a zapalony myśliwy zamierzył przedsięwziąć. Jakoż w roku zeszłym p. de la Motte udał się najprzód sam na Madagaskar w sprawach majątkowych, a następnie w końcu czerwca zjechał się w Mombasa ze swą żoną, która przybyła z Europy w towarzystwie kuzyna męża, p. Henryka de la Motte Saint-Pierre. Ztąd we troje zrobili kilkomiesięczną wyprawę nad jezioro Baringo w Środkowej Afryce, podczas której odbyto ciekawe łowy na słonie, nosorożce, lwy, hipopotamy i rozmaitą, drobniejszą zwierzynę. Nadto pani de la Motte, jako córka znanego entomologa francuskiego, p. Brabant, zajmowała się zbieraniem owadów, osobliwie motylów. Dama ta udzieliła nam łaskawie dziennika podróży, który najskrupulatniej prowadziła przez czas trwania podróży. Cieszymy się nadzieją, że czytelnicy nasi znajdą w nim niejeden ciekawy epizod; z drugiej zaś strony wyrażamy wdzięczność, że pani de la Motte

udzieliła nam swych interesujących notatek, zanim one zostały opublikowane we francuskim języku.

Redakcya.

Dziennik podróży.

Guy przybył na parowcu „Irawaddy“ na godzinę przed zawinięciem do portu „Djemnah'a“, który wiózł mnie i Henryka, a tym sposobem 28 czerwca uważać można za dzień naszego *rendez-vous* w Mombasa. Przedewszystkiem należało złożyć wizytę przedstawicielom władzy. Ponieważ sir Donald Stewart znajdował się w Nairobi, więc udaliśmy się do jego zastępcy, podkomisarza, p. Lane, który nas przyjął nadzwyczaj grzecznie. Wizyta u niego zmieniła z gruntu wszystkie nasze plany, gdyż p. Lane zwrócił naszą uwagę na obecność stada słoni na samem pobrzeżu, o trzy dni drogi od Mombasa. Obiecał też nam sprawdzić tę swoją wskazówkę, i w dwie godziny potem telefon przyniósł nam wiadomość, że słonie znajdują się tam ciągel, „waiting to be shot“ (oczekujące na zabicie).

Cztery dni zużyliśmy na załatwienie naszych interesów, jak uregulowanie kwestyj celnych, wybór kucharza, „tent boys“ (ludzi do obsługi namiotów), „gunbearers“ (strzelbonośców), „askaris“ (żołnierzy) i „headman“ (dowódcy karawany).

Nareszcie *2 lipca* wyruszyliśmy po wysłuchaniu rannej mszy św. Cóż za radość, gdyśmy, po opuszczeniu wyspy Mombasa, znaleźli się na stałym lądzie Afrykańskim! A mieliśmy czas na oddanie się temu uczuciu zadowolenia, gdyż czekać musieliśmy we Frere-Town, zanim cała karawana przebędzie wodę. Nasi tragarze poowijali sobie głowy czerwonemi kołdrami, w formie turbanów, co im nadaje wyraz marsowy.

Droga nasza ciągnie się przez „shambas“: plantacye patatów, manioku, bawełny, bananów, ukrywających się pod cieniem mangowców i palm kokosowych; gdzieniegdzie miejsca ich zastępują oryginalne palmy o licznych ramifikacyach; nazywamy je „głowami jeleniemi, bo ilość ich wyrostków wzrasta z wiekiem. Po czterech godzinach marszu, przebywamy rzekę Mtwapa w wielkiej pirodze; cudowna jest ta przeprawa po błękitnych wodach, okolonych dwiema ścianami zwrotnikowej roślinności. Rozbijamy obóz we wsi, w oczekiwaniu naszych ładunków, racząc się wodą kokosową. Wprawdzie naczelnik tej osady jest nieobecny, ale natomiast zjawia się jego zastępca, jakiś Indyanin, który nam każe przynieść owoców i wody.

Nazajutrz, *3 lipca*, droga nasza przez pięć godzin ciągnie się w pośród uroczych plantacyj kokosowych wzdłuż brzegu morskiego, omywanego przez spienione fale. Następnie wkraczamy do gęstej, jednolitej dżungli, która się ciągnie aż do Kuruitu, miejsca naszego obozowiska.

4 lipca powinniśmy stanąć u celu naszej podróży; jakoż po trzygodzinnym marszu docieramy do wielkiej osady Takaongo, gdzie składamy wizytę „walemu“ (szefowi arabskiemu), człowiekowi bardzo miłemu i dystyngowanemu. Zaledwie zdążyliśmy zamienić z nim kilka słów, gdy rozległ się dzwonek telefonu: to p. Maclean, „the Colector“ Malindi, który zapytuje o nas i zawiadamia, że nazajutrz przyśle nam przewodnika (shikarego).

Wali odprowadza nas do pirogi, na której przebywamy rzekę, i daje nam jednego „askaris'a“, który ma nas „przedstawić“ naczelnikom wsi okolicznych.

Po godzinie przybywamy do Kilifi, gdzie spożywamy śniadanie, zanim karawana przepłynie rzekę, której ujście stanowi port Kilifi. Gdy wszyscy znajdują się na przeciwległym brzegu, puszczamy się i my; olbrzymie delfiny pływają spokojnie przed naszą barką.

Ta ostatnia część drogi biegnie wpośród drzewiastych mahonij, oraz rozmaitych ukwieconych krzaków: wkrótce jednak odwracamy od nich uwagę, bo oto zjawiają się pierwsze tropy słoniów! Prowadzą one aż do samej wsi M'tondia.

Tutaj przybywa na nasze spotkanie p. Mackertish, agent syndykatu eksploatacyi leśnej, człowiek bardzo miły, i opowiada nam o rozpaczy miejscowej ludności, która widzi zniszczone przez słonie wszystkie swe plantacye kukurydzy, patatów i palm kokosowych.

Przed obiadem Guy udaje się, podobnie jak w wilię naszego francuskiego polowania, dla sprawdzenia tropów, lecz niema mowy o „zacieraniu“ ich, gdyż na to potrzebaby było całego zastępu grabarzy... Kontentuje się więc tylko zamarkowaniem ich, a następnie wydaje rozkaz askarisom obudzenia go o każdej porze nocy, skoro tylko usłyszą głosy słoniów.

5 lipca schodzi na oczekiwaniu shikarego, a także wtajemniczaniu Salima i Alfreda, w jaki sposób filtrować wodę i przyrządzać „kawę francuską“.

(*C. d. n.*).

Z prawodawstwa łowieckiego.

Czy zwierzyna postrzelona śmiertelnie może być ścigana na cudzym gruncie? Według naszej Ustawy Łowieckiej z 1871 r. — nie, gdyż par. 7 tych Przepisów kategorycznie mówi: „Zwierzyna postrzelona, w razie przejścia jej na sąsiedni obręb myśliwski, nie może być ścigana i stanowi własność właściciela tego obrębu; wyjątek zachodzi co do polowania „par force“. Inaczej na tę sprawę zapatrują się prawnicy francuscy, jak dowodzi wyrok w sprawie, świeżo zasądzonej przez trybunał w Château - Thierry i następnie zatwierdzonej przez Izbę sądową w Amiens. Pewien myśliwy ciężko zestrzelał zająca, który się zawlókł na cudzy teren, gdzie go myśliwy chybił z drugiej lufy, ale mimo to dogonił go i zabrał. Sąd uznał, że zając stał się własnością myśliwego przez samo zestrzelanie go pierwszym strzałem; że zatem nie popełnił żadnego występku, strzelając doń z drugiej lufy już na cudzem terytoryum, a następnie goniąc go i zabierając. Według nas, ten rodzaj interpretacyi jest najzupełniej wadliwy i prowadzący wprost do licznych nadużyć. Bo najprzód niepodobna jest ustalić, czy myśliwy chybił zająca swym drugim strzałem, względnie, czy pierwszy strzał był wystarczającym, aby umożliwić dogonienie zająca. Bardzo często zwierzyna, pozornie chybiona, otrzymuje w rzeczywistości jedną, dwie śróciny boczne na komorę i wskutek wewnętrznego krwotoku staje się łupem myśliwego. Z drugiej strony, jeśli usprawiedliwimy raz dublowanie z drugiej lufy na cudzem terytoryum zwierzyny, postrzelonej z pierwszej na własnym gruncie, to wtedy damy prawo każdemu strzelania z drugiej lufy poza granicą własnych gruntów, choćby nawet do zwierzyny chybionej, bo nigdy nie będziemy w stanie dowieść, że zwierzyna z pierwszej lufy została chybioną.

W dalszym ciągu, rozwijając niekonsekwencyę powyżej przytoczonego poglądu sądów francuskich, przejdziemy do wypadku, w którym postrzeloną śmiertelnie zwierzyną jest nie mały i względnie słaby zając, lecz np. jeleń, lub dziwnie „twardy“ na kule zwierz, jak dzik. Wiadomo, że zwierzęta te, nieraz śmiertelnie postrzelone, jak np. w brzuch, robią jeszcze wiele wiorst, zanim wycieńczone ostatecznie zalegną. Pozwalając więc gonić śmiertelnie ranioną zwierzynę na cudzem terytoryum, dajemy niesumiennym myśliwym pole do buszowania po cudzych terenach, a tem samem do wszelkiego rodzaju nadużyć.

Podług więc naszego zdania, lepiej jest trzymać się zasady, wyrażonej w naszych „Przepisach o polowaniu“, a mianowicie, że zwierzyna postrzelona staje się własnością właściciela tego terenu, na którym zalegnie lub padnie.

J. S.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myśiistwa.

Posiedzenie Rady, 14 lutego. Rada otrzymała zawiadomienie, że naczelnik powiatu mławskiego, powołując się na rozporządzenie gubernatora płockiego z d. 7 stycznia r. b. za Nr. 48, ozoajmił wszystkim, posiadającym bilety na prawo utrzymywania broni myśliwskiej w r. z., iż na rok bieżący pozwoleń tych nie otrzymają. Równocześnie zawezwał rzeczonych posiadaczy biletów na broń, aby w ciągu tygodnia złożyli swoją broń w biurze naczelnika powiatu, lub też sprzedali ją posiadającemu odpowiednie pozwolenie. Broń pozostałaby przez trzy miesiące do rozporządzenia właściciela, który może ją w tym czasie sprzedać, jeśli zaś w tym czasie nie znajdzie odpowiedniego nabywcy, broń będzie skonfiskowana.

Rozporządzenie to wygląda na jakieś nieporozumienie, bowiem broń, raz złożona w urzędzie, nie może być sprzedana, gdyż nikt przecież bez obejrzenia i wypróbowania używanej broni nie kupi. Ów rozkaz o złożeniu broni równa się przeto bezzwłocznej konfiskacie broni.

Ogólne Zebranie, 28 lutego. W uznaniu zasług, jakie p. Blumental położył dla Towarzystwa, nie szczędząc ani pracy, ani czasu swego dla dobra instytucyi, Ogólne Zebranie, na wniosek Rady, przez aklamacyę wybrało p. B. na Stałego Członka naszego Oddziału.

Do Komisyi Rewizyjnej wybrano pp. Fabiana Antoniego, Mentlowicza Jana, Kutznera Stanisława na Członków i pp. Avenariusa Bolesława i Gerretha Apolinarego na zastępców.

Przewodniczył obradom hr. Ksawery Branicki, sekretarzem Ogólnego Zebrania był p. Starzyński. Obecnych było 50 Członków.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 26 i 27 stycznia st. st. odbyło się polowanie w kniejach Słobodeckich na Podolu, własności znanego światu myśliwskiemu, znakomitego strzelca, p. Kazimierza Krassowskiego. Prócz niewinnych szaraków padło 8 kozłów i 2 lisy. Te ostatnie celnym dubletem zabił p. St. Skibniewski, ustępując jednak berło królewskie hr. Tomaszowej Łubieńskiej, mającej na rozkładzie 2 kozły i 10 zajęcy.

Niech mi wolno będzie na tem miejscu, w imieniu wszystkich uczestników polowania, wyrazić tak gospodarzowi, jak i młodemu jego zastępcy, wyrazy serdecznej wdzięczności nietylko za wezwanie na świetne łowy, lecz także za to przyjęcie tak ciepłe, a gościnne, które zakończyło nasz karnawał myśliwski najmilszem wspomnieniem.

Uczestnik.

W dobrach Poturzyce p. W. Rulikowskiego, w pow. tomaszowskim, gub. lubelskiej, odbyły się dwa polowania. W d. 30 stycznia polowano w rewirze Witków w 16 strzelb. Zabito 3 dziki, 4 kozły, 30 zajęcy i 3 lisy. Królem polowania był p. Kazimierz Pohorecki, który miał na rozkładzie 1 dzika, 1 kozła, 4 zające i 1 lisa. Dzień był niestosowny, bo jak tylko zaczęto polować, to zaczął zaraz deszcz padać i padał do samego wieczora.

W d. 6 lutego polowano w rewirze Wólka w 10 strzelb. Zabito 9 dzików, 4 kozły, 14 zajęcy i 2 lisy. Królem polowania był p. Władysław Świerzawski, który miał na rozkładzie 3 dziki, 1 kozła i 2 zające. Polowanie było urządzone tylko na grubego zwierza.

W Teklinie, w pow wieluńskim u państwa Konstantostwa Rembowskich, d. 27 stycznia polowano w 10 strzelb. Zabito 67 zajęcy, 2 lisy i 5 kuropatw. W d. 19 października już się odbyło jedno polowanie w Teklinie; w strajtie w 6 strzelb zabito 21 zajęcy, 86 kuropatw, 11 przepiórek i 2 kulony. Polując rok rocznie na jednem i drugiem polowaniu w Teklinie, nie mogę nie zwrócić uwagi, że zwierzostan rok rocznie znacznie się powiększa, na co wpływa działalność i energia właściciela. Dodać należy, że porządek w prowadzeniu polowania był wzorowy. Jak zawsze, pobyt w Teklinie czyniła najmilszym iście staropolska gościnność uprzejmych i serdecznych gospodarstwa. Oby Św. Hubert miał zawsze w swej opiece tak miłe sercu myśliwskiemu, Teklińskie tereny.

J. K. S.

W majątku Łunin, ks. Franciszka Druckiego-Lubeckiego, na Pińszczyźnie, odbyły się w d. 3 i 4 lutego dwa małe polowania na dziki. Ogółem na rozkładzie okazało się 7 sztuk, z których strzelanych: 1 stara maciora, 2 trzylatki i 1 warchlak. 3 warchlaki wzięły psy. Do łosi, których widziano sporo, nie strzelano. Jedyną przyczyną małej sztreki, w stosunku do ilości dzików, widzianych w miotach przez obławników, była bezwarunkowo za mała ilość strzelców w stosunku do obszaru ostępów, których w żaden sposób, na mniejsze ostępy rozdzielić nie można.

A. Z.

W Mnichowie (gub. kieleckiej), będącym własnością p. Bronisława Mikulowicza, dzięki dbałości i żywieniu zwierzyny przez zimę, zwierzostan ustawicznie się polepsza. Na polowaniu, odbytem w d. 8 lutego, zabito w 10 strzelb: 2 jelenie, 1 kozła i 210 zajęcy. Dziki na strzelców nie wyszły.

Wykazy Myśliwskie.

W cesarsko-królewskich dobrach Gooding ubito w r. 1905: 7 jeleni, 145 sarn, 7,885 zajęcy, 2,467 królików 3,565 bażantów, 7,433 kuropatw, 22 bekasów, dalej 10 lisów, 19 kun, 385 tchórzy, 339 łasic, 2 sokoły, 107 myszołowów, 245 krogulców, 73 srok, 716 wron, 318 psów-783 (!) kotów—razem 24,513 sztuk.

Panujący książę Schwarzburg-Sondershausen ubił przez lat 50, od 1856 do 1906 r., 67,880 sztuk zwierzyny, a mianowicie: 6 niedźwiedzi, 3 psy morskie, 1,372 jelenie, 1,641 byków, 3,400 danieli, 2,497 dzików, 1,358 kozłów, 448 sarn, 20,643 zajęcy, 438 królików, 147 głuszców, 133 cietrzewi, 29,806 bażantów, 44 słonek, 4,632 kuropatw, 389 lisów, 101 borsuków, 7 kun, 659 ptaków wodnych, 164 mew, dropia i czaplę.

Arcyksiążę Fryderyk w dobrach swoich na Węgrzech urządzał częste polowania w r. 1905. Ubito tam i wytępiono przez ten czas: 264 byków, 696 jeleni, 672 kozły, 397 sarn, 74 dzików, 32,895 zajęcy, 12,611 królików, 43 głuszce, 1 cietrzewia, 57 jarząbków, 10,367 bażantów, 16,502 kuropatw, 404 przepiórek, 410 słonek, 78 bekasów, 46 dropi, 12 dzikich gęsi, 1,959 dzikich kaczek, 34 kur wodnych, 84 dzikich gołębi — razem 77,606; 378 lisów, 7 żbików, 85 kun, 944 tchórzy, 1,725 łasic, 17 wy-

der, 28 borsuków, 4,137 psów i kotów, 4,048 wiewiórek i jeży, 13 orłów, 1 puhacza, 47 kawek, 4 sowy, 2,104 jastrzębi, sokołów i t. d., 7,112 wron i srok, 3 kormorany, 126 czapli, 2,152 różnych — razem 22,931; ogółem 100,537 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Zbliżanie się wiosny. Kuropatwy w parach widziano po raz pierwszy w tym roku na polach Willanowskich w d. 14 lutego.

P. Wiktor Stephan, nadleśniczy lasów Willanowskich, słyszał po raz pierwszy skowronka w d. 22 lutego, a 24 lutego widział ciągnących 7 gęsi dzikich. Leciały one w kierunku wschodnim.

Handel zwierzyną. Magistrat polecił komisarzom handlowym, policyjnym i dozorcom bazarów mieć baczną uwagę, aby w sprzedaży nie było zwierzyny i ptaków, których zabijanie i sprzedaż obecnie wzbroniona jest przepisami o polowaniu. Winni przekroczenia tego za pierwszym razem podlegać będą karze pieniężnej w wysokości 10 rb., drugim — 20 i trzecim — 40 rb., a czwartym zdobycz podlega konfiskacie na rzecz zakładów dobroczynnych. Magistrat tym razem nie wspomina o żadnem pieczętowaniu zwierzyny, co znaczy, że w obecnej chwili nie powinno być w sprzedaży zwierzyny wogóle, z wyjątkiem tej, na którą polowanie jest dozwolone (dziki, byki, rogacze, koguty: głuszcze, cietrzewie i jarząbki).

Kłusownictwo. „Praca Polska" otrzymała następującą korespondencyę z Kalisza: „Tragiczny wypadek, świadczący o strasznem zuchwalstwie grasujących w tutejszych stronach, kłusowników, zdarzył się w majątku Szynkielewie, należącym do p. Adama Kossowskiego. Dwaj gajowi z majątku Rychłocice spostrzegli w lesie szynkielewskim dwóch kłusowników i puścili się za nimi w pogoń, usiłując odebrać broń. Jeden z kłusowników uciekł, porzuciwszy dubeltówkę, drugi zaś z odległości kilku zaledwie kroków wystrzelił do obydwu gajowych, z których jednego zabił na miejscu, trafiając w samo serce, drugiego zaś zranił ciężko w głowę, poczem, zadawszy mu jeszcze kilka razów w głowę kijem, zbiegł. Stan zdrowia ciężko ranionego gajowego jest beznadziejny".

Gniazdo kuropatw w zimie. W pobliżu miasta Massowa w Meklemburgii, robotnicy znaleźli niedawno w polu gniazdo kuropatwiane z siedmioma świeżemi jajami. Kura usłała sobie gniazdo na resztkach słomy po owsie. Przypuszczają, że wyjątkowo łagodna zima tegoroczna pozwoliła kuropatwie znieść jaja i wysiadywać je o tak niezwykłej porze roku.

Z Czech. Z powodu bardzo ciepłej pogody w tym roku, zające zaczęły parkot o wiele wcześniej, niż zwykle, bo już w połowie stycznia. Tymczasem prawo austryackie pozwala strzelać do zajęcy do d. 31 stycznia, wskutek czego ubito wiele zajęczyc już zapłodnionych. Wielu myśliwych korzysta tak pilnie z tego terminu, że jeszcze w ostatniej godzinie prawie polują na zające. W r. b. uczynił to hr. Czernin, który w ostatniej godzinie przed nastaniem czasu ochronnego ubił 60 zajęcy.

Przeciw robactwu u psów. Jedno z pism niefachowych podało bardzo prosty środek na wytępienie robactwa u psów, a przytem bardzo skuteczny, jak dowiodły próby. Bierze się 5—6 garści ziela piołunowego i zaparza w trzech litrach kipiącej wody, poczem zostawiamy je nakryte przez pół dnia. Potem przecedzamy wszystko przez sukno i kąpiemy psa w tej miksturze, a po kąpieli obmywamy go czystą wodą. Silnie uwłosione psy trzeba kąpać staranniej, ewentualnie częściej. Lepszym jednak środkiem jest specyalny proszek przeciw robactwu.

Statystyka wystaw 1905 r. W Niemczech odbyło się w roku zeszłym 37 wystaw psów i 13 prób polnych, ze współudziałem 2,489 jamników, 1,364 krótkowłosych, 1,005 fox-terrierów, 407 legawych ostrowłosych, 157 legawych długowłosych, 155 setterów irlandzkich, 151 gordon-setterów, 134 setterów angielskich, 125 pointerów, 72 weimaranów, 40 farbowców (tropowców), 20 wirtemberczyków, 20 braków borsuczych, 19 tropowców górskich. Najwięcej psów miała wystawa w Hannowerze, gdzie znajdowało się 1,026 okazów, Berlin miał 885, Monachium 837, Frankfurt nad Menem 731, Akwizgran 716, Hamburg 566, Strassburg 511. Razem z psami luksusowemi wystawiono około 14,000 osobników.

Wystawa myśliwsko-strzelecka. W Monachium utworzył się komitet, który zajmie się urządzeniem wystawy łowiecko-strzeleckiej podczas mającego nastąpić XV zjazdu towarzystw strzeleckich. Wystawa będzie miała następujące działy: I przybory myśliwskie, broń, amunicya, prowianty, odzież, wozy i samochody myśliwskie; II strzelnice, krążki strzelnicze, hodowla zwierzyny, literatura myśliwska, reprodukcye; III domki myśliwskie, urządzenie gabinetów myśliwskich, rogi, preparaty zoologiczne, artykuły przemysłu artystycznego, puhary, przybrania stołu, sztandary, emblematy; IV dział sztuki: obrazy, rzeźby i rysunki, medale.

Przy wyjmowaniu ładunku. Jak należy być ostrożny przy wyjmowaniu ładunku, dowodzi wypadek, który się zdarzył niejakiemu G. Geisslerowi w Dreissighuben w Niemczech. Strzelec chciał wydostać ładunek za pomocą noża, ale nabój się zapalił i gilza pękła. Części jej utkwiły w twarzy myśliwego, który musiał się udać do szpitala na kuracyę.

Automatyczne pistolety repetyerowe. W armii szwedzkiej poddano próbom rozmaite automatyczne pistolety repetyerowe. Wyznaczona w tym celu komisya doszła do następujących wniosków: *Pistolet Browninga* Nr. 1 z powodu swej doskonałej formy i dobrej sprawności strzałowej jest szczególnie odpowiedni do zastąpienia starych rewolwerów kieszonkowych w codziennem użyciu; dla celów jednak wojennych nie może być użyteczny z powodu lżejszego działania oddzielnych strzałów i mniejszej gotowości ogniowej. To samo twierdzić można o pistoletach Mannlichera i Hamiltona. Za nieodpowiednie uznano także, z powodu niedostatecznej gotowości ogniowej pistolety Colt-Browninga, Frommera i pistolety karabinowe Mannlichera. Ostatecznie wybrano systemy Parabellum i Browninga Nr. 2, które pod względem dobrej gotowości ogniowej przydać się mogą także w armii. Parabellum, jako broń precyzyjna, przechowuje się lepiej, mechanizm jednak nie funkcyonuje tak pewnie, jak u Browninga, którego system przeto okazuje większe działanie. Komisya orzekła tedy, że pistolet Browninga Nr. 2 ze wszystkich wypróbowanych systemów jest najbardziej odpowiedni, jako broń dla armii. Co się tyczy formy pocisków, komisya wypowiedziała się za spłaszczoną główką, ażeby osiągnąć wyższe działanie oddzielnych strzałów, wstrzymujące przeciwnika.

Mierzenie ciśnienia gazów. Podczas, gdy za dawnych czasów myśliwy znał głównie jedno wyrażenie: „dać ognia", i to mu wystarczyło, — od myśliwego współczesnego wymaga się nieraz sporej dozy umiejętności fizykalnej, a zwłaszcza wiedzy ballistycznej. Teraz powtarza się wyrażenia: „siła penetracyi", „ciśnienie atmosfer", „żywa siła w kilogram-metrach", „szybkość początkowa" i t. d., mimo, że strzelcy nie znają dokładniej tych wyrażeń. Zdarzają się też z tego powodu nieporozumienia, na które zwraca uwagę jedno z zagranicznych pism myśliwskich. Tak np. sądzą powszechnie, że proch, który rozwija większe ciśnienie atmosferyczne, jest niebezpieczniejszy. Tymczasem wszystko zależy od siły oporu broni i od tego, czy ciśnienie gazów rozwija się raptownie, czy powoli. I metoda mierzenia wymaga bliższych określeń. Najpierwsza metoda, prymitywna, pochodzi od amerykа-

nina Rodmana, który usiłował mierzyć ciśnienie gazów; metodę tę ulepszył generał austryacki, Uchatius. Polega ona na tem, że do ściany lufy lub do zamknięcia broni wsadzamy kawałek rury z odpowiednim stemplem stalowym, który jest zakończony zewnętrznie kabłąkowato; kabłąk zaś w miarę ciśnienia gazów ugina się i rejestruje znaki na podłożonej płytce miedzianej lub cynkowej. Rozmiary te zamienia się potem na atmosfery w ten sposób, że to samo ciśnienie kabłąka wywołujemy, przywiązując doń ciężar odpowiedniej wagi i obliczając, że 1 atmosfera równa się 1 kg. pro cm. 2. Mierzenie ulepszył potem jeszcze więcej Anglik, Noble; ulepszenie polega na usunięciu płyty podłożonej i zastąpieniu jej cylindrem miedzianym, który bezpośrednio podlega ciśnieniu stempla stalowego, wskazując skalę ciśnienia. Oczywiście, że i ta ulepszona metoda zostawia wiele do życzenia pod względem ścisłości.

Ze Szwajcaryi. Z końcem r. 1905 upłynął okres tymczasowej dzierżawy rewirów myśliwskich w Aargau, wskutek czego w przeciągu ostatnich miesięcy i tygodni wszędzie w kantonie odbywały się przedłużenia dzierżaw na dalsze ośm lat. Czynsz dzierżawny za okres 1897 do 1905 r. wynosił 80.796 franków rocznie. Wbrew oczekiwaniom, nowa dzierżawa dała jeszcze lepszy wynik, gdyż podniosła się do 98.081 fr. Do tej liczby dochodzi jeszcze 15 %, które pobiera państwo, jako odszkodowanie za swobodę, zostawioną gminom przy wydzierżawieniu polowań; dochód państwowy wpływa ze świadectw, jakie się wydaje myśliwym-dzierżawcom. Państwo ma z tego 14.712 fr. W ten sposób polowanie kosztuje dzierżawców sporą sumkę — 112.793 fr. rocznie. Gazety szwajcarskie domagają się układania przez gminy ścisłej statystyki ubitych zajęcy, sarn, lisów i jeleni. Myśliwi z okręgu Jura narzekają na coraz większe ubywanie zajęcy. Sprawozdanie roczne towarzystwa myśliwskiego w Aargau stwierdza, że liczyło ono w roku zeszłym 7 członków honorowych i 232 zwyczajnych, którzy mają dzierżawę, oraz 54 bez dzierżawy, czyli razem 286 uczestników, a dodając nienależących do związku, mamy w danym okręgu 350 myśliwych.

Obuwie dla psów. W Labradorze ze skóry fok robią obuwie dla psów. Psy, używane do sani, przebywają pędem znaczne przestrzenie po szorstkim lodzie, więc obuwie konieczne jest do zabezpieczenia ich łap od okaleczenia i podbicia.

Cesarz Menelik z Abisynii sprowadził niedawno z cesarsko-królewskiej fabryki broni dworskiej Piotra Werniga w Ferlachu strzelbę *czterolufową* specyalnej konstrukcyi fabrykanta, mającą odpowiednio zmontowaną lunetę.

Rogi renifera znalazł niedawno jakiś nauczyciel pod Strassburgiem w wykopalisku. Paleontolog dr. Frorrer twierdzi, że pochodzą one jeszcze z czasów diluwialnych.

Tępienie reniferów w Kanadzie. Z Montrealu donoszą o masowem tępieniu tamtejszych reniferów, zwanych Karibous. Otaczają wielkie stado i pędzą je ku morzu, gdzie zabijają hurtownie zwierzynę wyłącznie dla rogów i skóry. Kosztowne mięso tysięcy reniferów niszczą zupełnie.

Prawo myśliwskie w Kiauczou. W należącej do Niemiec prowincyi chińskiej ogłoszono prawo myśliwskie, które zalicza do zwierząt łownych w okręgu Kiauczou: zające, wydry, wilki, lisy, borsuki, żbiki, kuny szlachetne, kamionki, przepiórki, bażanty, dzikie gołębie, drozdy, słonki, dropie, siewki, derkacze, żórawie, orły, łabędzie, ptaki wodne i błotne, z wyjątkiem szarej czapli, nura, kormorana i tracza.

Wilki pod Rzymem. Podczas, gdy w Europie środkowej zima jest nadzwyczaj łagodna, we Włoszech stosunkowo panuje pogoda dosyć ostra. Zima nastała tam wcześnie, przynosząc mnóstwo śniegu, czego tam nie widziano od wielu dziesiątków lat. Dowodem niezwykłej zimy jest fakt, że już w grudniu wilki schodziły z gór Campany na równiny, a potem strzelano wilki pod bramami wiecznego miasta. Różne pisma ilustrowane dają reprodukcye zdjęć, dokonanych przez amatorów, a które przedstawiają myśliwych i rozkład wilków, ubitych na takich polowaniach. O ile można sądzić z obrazów, wilk włoski, w porównaniu ze środkowo-europejskim, a zwłaszcza karpackim, jest dosyć wątłem zwierzęciem, które wielkością nie przerasta o wiele lisa.

Mieszaniec bażanta został niedawno ubity w Pottenbachu w Niemczech. Był to bastard koguta domowego z kurą bażanta. Ptak miał wygląd koguta bażanciego, ogon był średniej długości, uderzająco jasne ubarwienie zdradzało właściwe pochodzenie.

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Monte-Carlo.

W uzupełnieniu wiadomości o rozegraniu wielkiej puli międzynarodowej, przypomnieć musimy, że według warunków tej puli strzela się do 12 gołębi, z których 3 pierwsze na 26 metrów, a 9 następnych - na 27 metrów. Trzy chybione gołębie wykluczają strzelającego z konkursu. Otóż z pomiędzy konkurujących w tym roku nikt nie zabił wszystkich 12 gołębi, a tylko 8-iu strzelających zabiło po 11, a mianowicie: pp. Marconcini, Grasselli, Bordoni, hr. de Lazzara, Schianini, dom A. Luro, hr. Chiericati i de Lesse. Ciekawym wypadkiem było chybienie przez zwycięzcę, p. Grasseli'ego, pierwszego zaraz gołębia, co zdawało się być dla niego złą zapowiedzią na dalszy przebieg konkursu. Wspomnieni panowie rozstrzeliwali się już bez udziału reszty konkurujących. P. Grasselli zabił w tej rozgrywce 8/8 gołębi; p. Bordoni odpadł przy 8-ym gołębiu; p. Luro — przy 6-ym; p. Lazzara i Marconcini — przy 4-ym, a pp. hr. Schianini, hr. Chiericati i de Lesse — przy 3-m. Tym sposobem p. Grasselli po pierwszym, nieudatnym strzale, zabił 19 gołębi zrzędu.

W sprawozdaniu, podanem w poprzednim numerze „Łowca Polskiego“ (podług londyńskiego „Field'a“), mylnie zaznaczono, że p. Grasselli wziął całkowitą I-szą nagrodę w sumie 27.500 fr., przyczem pominięto zupełnie p. Marconcini'ego. Panowie Grasselli i Bordoni podzielili się I i II nagrodą w ogólnej sumie 27.500 fr., a tylko pan Grasselli wziął przedmiot wartościowy, o czem decydował ósmy strzelany gołąb przy rozgrywce. III nagrodę wziął p. Luro. IV podzielili się pp. Lazzara i Marconcini, a V pp. Schianini, Chiericati i de Lesse.

Ziomkowie nasi, pp. Horodecki i Zaleski, w pierwszych 5-iu gołębiach chybili po trzy i tem samem odpadli.

D. 10 lutego. W dniu tym rozegrano ważną nagrodę *Prix de Monte Carlo Handicap* przy udziale 131 konkurujących. I nagrodę (6,075 fr. i złoty medal) zdobył p. Greig (Anglik) - strzelał na $25^1/_2$ mtr., zabił 11/11 gołębi. II-a nagroda (6,075 fr.) dostała się w udziale p. Malfetani (Włochowi), który strzelał na $27^1/_2$ mtr. i zabił 10/11 gołębi. III i IV nagrodą w ogólnej sumie 4,400 fr. podzielili pp. baron de Waldner ($25^1/_2$ mtr.) i lord Savile (20 metrów) zabiwszy po 9/10 gołębi.

D. 13 lutego. Prix Myosotis Handicap. I, II i III nagrodą podzielili się pp. Mackintosh (31 mtr.), Journu ($29^1/_2$ mtr.) i Mazurin (28 mtr.). Każdy z nich zabił po 7/7 gołębi. Ogólna suma trzech nagród wynosiła 3,000 franków.

Prix H. Grasselli. 27 metrów. I i II nagrodą w ogólnej sumie 2,425 fr. podzielili się pp. Roberts i C. Robinson, zabiwszy po 8/8 gołębi. III nagrodę (600 fr.) zdobył bar. de Waldner, mając 7/8 gołębi. W puli tej strzelał również i p. Horodecki, lecz odpadł przy 5-ym gołębiu.

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Dykteryjki myśliwskie.

Ciężką niesprawiedliwością jest ogólny zarzut, czyniony myśliwym, „koloryzowania" swoich opowiadań i dykteryjek. Zarzut ten czyniony jest przeważnie dlatego, że myśliwi, przestając z naturą, mają możność poczynienia takich obserwacyj, jakie uchodzą oka zwykłego laika, a ztąd biorą oni asumpt do zarzucania myśliwym „ubarwiania". Ogólnie jest znaną i stwierdzoną prawdomówność myśliwych, co zresztą stwierdzają poniższe opowiadania w wypadkach, których w części doświadczył sam autor, w części zaś pochodzą od bezwzględnie wiarogodnych myśliwych.

Ile to już pisano o instynkcie lub rozumie psów myśliwskich, tegoby na wolowej nie spisał skórze! Nie chcę tu „odgrzewać" starych rzeczy, ale nie wiem, czy słyszeli towarzysze śrótu o psie „Karo", który często zdumiewał nietylko swym rozumem, ale i wprost przewidywaniem dalszych wypadków. Otóż pewnego razu robi twardą stójkę do krzaka cierniowego, rosnącego przy wielkiej drodze, prowadzącej do znanej, pańskiej rezydencyi. Któż opisze zdziwienie jego pana, gdy przy zbliżeniu się, znajduje pod nim dziecko płci żeńskiej, owinięte w łachmanki, podrzucone tu widocznie przez wyrodną matkę. Pan jego nie mógł sobie jednak wytłómaczyć, dlaczego pies tak mocno stanął do dziewczynki. Wyjaśnienie nastąpiło dopiero po ośmnastu latach: dziewczynka wyrosła na lekkiego „ptaka" niebieskiego, *co mądry Karo zwąchał już naprzód, zaraz po jej urodzeniu się.*

Na to opowiadanie wtedy niedowierzająco kiwałem głową, ale sam doświadczyłem jeszcze większej psiej zmyślności. Przechodziłem przez gładko zbronowane kartoflisko pod miasteczkiem, w blizkości którego przed kwadransem zaledwie skończono strzelanie do sztucznych gołębi, byłem więc pewny, że tak prędko nic tu nie spotkam i miałem strzelbę na pasku. Raptem „Norma" zacina mi się tuż prawie pod płotem strzelnicy. Gwiżdżę na nią i idę dalej. Norma mija mnie i staje o kilkanaście kroków w bok, w zupełnie innym kierunku. Obserwuję gładkie pole i zirytowany przywołuję ją do nogi. Za chwilę znów wystawia! Zdziwiony przeszukuję uważnie każdą skibę — i cóż się okazuje! Norma wystawiała gliniane kule, będące przedmiotem strzałów myśliwych ze strzelnicy, a mające zastępować *gołębie*. Kulek tych nie zdołano jeszcze pozbierać po strzelaniu, a Norma moja odgadła, że są one celem dla myśliwych. Charakterystyczne, że smolowcowych kul nie chciała wystawiać, a jak się okazało, w tem przewidywaniu, że kiedyś, w przyszłości, jej dzieciom smoła na nosie, podczas nosaciżny sprawi dużo przykrości.

Przeczytałem pewnego razu obszerne dzieło niemieckie, traktujące o tresowaniu legawców. Przejęty niem, postanowiłem zrobić z mego Azora wzorowo sportującego psa, któryby nie odmawiał sportu w żadnym przypadku. Rzucałem mu więc małe i wielkie flaszki, a po wytłuczeniu pustych, sprowadzałem pełne (cel uświęca środki), które Azor sportował bez zarzutu. Próbowałem rzucić mu nawet cylinder od lampy — nosił. Ale raz umyślnie kładę mu szkło gorące prosto z lampy — i co państwo myślicie? Pies, poczuwszy, że szkło gorące, zaczyna nań usilnie z jednego końca kichać, łapie za tak ochłodzony koniec i z tryumfem przynosi gorące szkło do mnie! Powiadam i twierdzę, że niema, jak tresura z podręczników niemieckich specyalnych. Ale tylko *specyalnych.* Na poparcie przytoczonych faktów mogę zacytować nazwisko znane mego sąsiada, ale... jemu jeszcze mniej wierzą, niż mnie.

H. S.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Kot.

17. Kot lubi śmietankę, koza majeranek.
18. Kot łowny, chłop narowny, nigdy nie zginą.
19. Kot myszy nie niecha, liszka kur, a wilk owiec.
20. Kot głodny, gdy nie łowny, chłop, gdy nie domowny.
21. Koty z kim drzeć.
22. Kot za sadłem, chłop za jadłem, wilk za padłem.
23. Lepiej kotu na ogniśku, niżeli psu na wiórzysku (lub igrzysku).
24. Łów sobie kotku.
25. Nie ciągnij kota za ogon.
26. Nie graj kotku z niedźwiedziem.
27. Nie graj z kotkiem, bo cię udrapnie.
28. Nie każdy kot łowny.
29. Nie porywaj się kotku na niedźwiedzia, bo kiedy niedźwiedź draśnie, tedy kotek wrzaśnie.
30. Nie żartuj kotku z psem.
31. Nie prędzej, jak kotka jaja zniesie.
32. Pierwsze koty za płoty.
33. Jak będą koty ozory wywieszać.
34. Jeszcze i koty się nie gonią.
35. Kocie łapki w aksamitnych trzewikach.
36. Kocie oczy, wilcze gardło, co zobaczy, toby żarło.

Koza.

1. Dobra koza na wrzosie.
2. Dobra kozie brzoza.
3. Drze łozę koza, kozę wilk.
4. Kozie ogona zawiązać nie potrafi.
5. Jaka koza z krzywą gębą, takie dzieci po niej będą.
6. Jak jedna koza zadrze ogona, to i wszystkie.
7. Koza nie bydło, dziewka nie czeladź.
8. Koza wrzosu, bocian żaby, a żaba błota szuka.
9. Koza za kozami idzie.
10. Kozie zdrowie, głód wilczy.
11. Ledwie w kozi róg nie wlazł.
12. Młoda koza sól lubi, a stara ją ze solniczki wyjada.
13. Nie szacz kózko, żebyś nie złamała nóżki.
14. Parskała koza na wilka, przecież ją wilk zjadł.
15. Wsadzono go w kozi rożek.
16. Z tej kozy mięsa nie będzie.
17. Żeby koza nie skakała, toby nogi nie złamała.
18. Koza miodu nie pije. (*C. d. n.*)

Treść Nr. 5 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

ilustrowany **na 1906 rok**

pod redakcyą „Łowca Polskiego"

wyszedł z druku

nakładem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

i jest do nabycia

w Składzie broni Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy 60 kop.

z przesyłką pocztową w oprawie 1 rb., bez oprawy 85 kop.

Poszukuję suki

Gryfonki lub Stichelhaarige Deutsche Vorstehhündin w wieku od $\frac{1}{2}$ do $1\frac{1}{2}$ roku, może być surowa, byleby czystej rasy. Oferty listowne proszę nadsyłać: **Kock. Gub. Siedlecka. Zarząd Dóbr.**

Strzelec

leśnik i bażantarnik, żonaty, w sile wieku, obeznany gruntownie z hodowlą bażantów, jak również z gospodarstwem leśnem, poszukuje posady bażantarnika lub podleśnego od 1-go kwietnia 1906 r. Adres: majątek Suchowola, gubernia Siedlecka, poczta Radzyń.

Ignacy Bonawenturczak

Istnieje od 1854 r.



ZAKŁAD

wypychania zwierząt i ptaków

p. f.

ANTONI ŁASTOWSKI

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na

Krakowskiem-Przedmieściu № 22.

A. Łastowski

(1) Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

NEOFICI POLSCY

T. J. Choińskiego.

wyszli z druku i są do nabycia w Warszawie, w księgarniach: Gebethnera i Wolffa, Wendego, Fiszera i Sadowskiego.—Książka ta zawiera spis żydów, ochrzczonych w Polsce i na Litwie od roku 1500 do roku 1903 spis neofitów nobilitowanych i genealogie wybitniejszych rodzin neofickich.

Cena rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez **Jana Sztolcmana**

z ilustracyami **Józefa Rapackiego.**

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

NAKŁADEM REDAKCYI

„ŁOWCA POLSKIEGO"

wyszły następujące

DZIEŁA MYŚLIWSKIE:

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 kop.

Wiktor Stephan „Sarna" t. I z ilustracyami 50 kop.

Wiktor Stephan „Zając pospolity" t. I 70 kop.

Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy t. I rub. 1 kop. 20.

Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 kop.

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I 75 kop.

C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I rub. 1 kop. 50.

Goedde „Hodowla bażantów t. I rub. 1.

Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 kop.

Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I 50 kop.

Dr. O. Hilfreich „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I rub. 1.

Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania". Z rys. T. I. 80 kop.

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni **K. TREPTEGO** (w Warszawie, Marszałkowska 149.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 6. Warszawa, d. 16 Marca 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

Ogłoszenia
Warszawskiej Spółki Myśliwskiej
na II-ej stronie.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W marcu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty) i na wszelkie ptactwo przelotne.

Łunacya w marcu.

Ostat. kw. d. 17, o g. 1 m. 21 pp.
Nów d. 24, o. g. 1 m. 16 pn.

Wschód i Zachód Słońca
w marcu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	6	16	6	3
17	6	14	6	5
18	6	12	6	7
19	6	9	6	8
20	6	6	6	10
21	6	4	6	12
22	6	2	6	14
23	5	59	6	15
24	5	57	6	17
25	5	55	6	19
26	5	52	6	21
27	5	50	6	22
28	5	47	6	24
29	5	45	6	26
30	5	43	6	28
31	5	40	6	29